№ 12 Warszawa, dnia 9 (21) Marca 1888 r. Rok XXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

AGNIESZKA HEDENSTRÖM.

Odwiedziny, któremi podczas swej bytności w Londynie książę Oskar Szwedzki zaszczycił *Dom skandynawskich żeglarzy*, a zarazem jego szlachetną naczelniczkę i gospodynią, Agnieszkę Hedenström, przypomniały publiczności angielskiej tę wielkiego serca i poświęcenia cudzoziemkę. Pisma londyńskie pomieściły jej portrety i podały opis wzruszającej jej dobroczynności, której kierunek, podobnie jak i dzieje życia kobiety czytelnicy nasi znają już w pewnych zarysach głównych. Ale życie to wypełnia się coraz czynami miłosierdzia i szlachetnego patryotyzmu, skarbi sobie coraz więcej zasług: więcej czci i uznania ludzkiego i tworzy z niego epopeje cichego bohaterstwa, cichej kobiecej cnoty i ofiary. Szwedka ze starej rodziny szlacheckiej, której pień pochodzi z Finlandyi, mająca w macierzyńskiej linii między przodkami swemi Polkę: Annę Łosiównę, przeżyła w pierwszej młodości swojej bolesną stratę człowieka, któremu miała być żoną. Narzeczony jej był żeglarzem z powołania, officeremw marynarce kupieckiej i zginął na morzu. Że przecież załoga rozbitego okrętu ratowała się na łodziach, że można było przypuścić ocalenie, ona, wierna miłości swojej, czekała, a potem gdy lata upływały bezowocnie dla jej nadziei, postanowiła udać się w strony, gdzie przypuszczalnie mogłaby była powziąć jakąkolwiek wiadomość o losie zaginionego i w tym zamiarze puściła się najpierw do Londynu, bo bardzo wielu majtków skandynawskich służy w marynarce angielskiej i od nich, od żeglarzy floty indyjsko-angielskiej, spodziewała się dowiedzieć coś o okręcie, który rozbił się kędyś na morzach indyjskich. W planach jej leżało posunąć dalej jeszcze poszukiwania swoje: połączyć się z angielską apostołką, niosącą między Indyanów światło Ewangelii, miss Reeves, i poszukiwania swe rozpocząć na miejscu bliższem katastrofy. Zdarza się wiele wypadków zaginienia, smutnego uwięzienia się rozbitów na jakimś brzegu dalekim, na jakiejś wysepce pustej, i Agnieszka Hedenström dręcząc się myślą podobnego losu ukochanego człowieka, rzucała się odważnie na ciężkie awantury szukania go wśród mórz i lądów dalekich. Matka wdowa, zamieszkała w domu drugiej, zamężnej córki, a ona najpiękniejsze lata dziewiczej wiosny życia postanowiło poświęcić bohaterskiemu obowiązkowi dla człowieka, któremu przyrzekała miłość i wierność.

Pierwszemi jej krokami w tym kierunku było zbliżyć się jeszcze w Londynie do ludu żeglarskiego, który napływa ustawicznie do doków londyńskich i po surowej dyscyplinie okrętowej, po twardem życiu pracy i niebezpieczeństw żeglugi morskiej chce użyć swobody i wesołej pohulanki w mieście. Mnóztwo gospód, szynków, niższego gatunku zajazdów, kupi się w tem miejscu, czekając na łup — na ciężko zapracowany grosz żeglarza i część jego duszy, którą w zastawionych tu na niego sidłach gubi. Ale w Anglii wobec każdej takiej rany społecznej stoi z pomocą i ratunkiem pewna liczba ludzi dobrej woli, w dokach londyńskich filantrop Radcliffe i dziełom miłosierdzia poświęcona kobieta, miss Mac Pherson, wznieśli dla najbardziej narażonych żeglarzy to jest dla żeglarzy obcych narodowości przytułek uczciwy: „Strenger Rest,“ gdzie i majtkowie skandynawscy mogli znajdować schronienie, i gdzie też odważna Szwedka zetknąć się z niemi chciała. Lecz miejsca, które w tym celu przebywać musiała, wydały jej się piekłem i wróciła przerażona; zmęczona aż do choroby, upadła na duchu.

Ale znalazła w tem piekle wiele rodaków i ściskała ją żałość wielka. Tu nikt i nic nie przypominało im ojczyzny, rodzinnego domu, tu nie słyszeli nigdy w języku swoim mówionego pacierza. Przestraszona była przecież bardzo, była przejęta wielkim wstrętem, obrazy ludzi i ich życia były dla jej czystej wyobraźni kobiecej tak straszne, że przelękła się ich i uciekając jak z Gehenny jakiejś, lękała się nawet obejrzeć poza siebie.

Lecz lękały się tak oczy tylko, bo serce oglądało się właśnie, przejęte bolesnem uczuciem litości, a snadź było ono silniejszem od nerwów, bo Agnieszka Hedenström wróciła tam raz drugi, trzeci, dziesiąty, aby wreszcie pozostać tam nazawsze. Wiadomości o ukochanym człowieku, już się przestała spodziewać.. Przestała spodziewać się już szczęścia, matka jej miała na pomoc i pociechę starości córkę inną i ona, połączywszy się z missyą miss Mac Pherson, służyła przez lat trzy za siostrę miłosierną dla ducha majtków skandynawskich, przemawiając do nich językiem ojczystym, modląc się z niemi, przypominając im kraj i daleki dom rodzinny. Przecież wśród przestrogi i upomnień im dawanych, usłyszała nieraz smutną skargę, że przez czas pozostawania na lądzie, przebywania w mieście obcem, nie mając się gdzie podziać, muszą mieścić się w okolicy Londynu najgorszej, i ulegają mimowoli nieszczęsnym wpływom otoczenia. Że było to prawdą, poczciwe serce kobiety drgnęło: pieniądze, nieużyte na poszukiwanie straconego szczęścia swego, oddała, aby ratować ziomków i w 1880 r. powstała w okolicy doków londyńskich przez nią wzniesiona, przez nią osobiście zarządzana „Gospoda majtków skandynawskich:“ „Scandinavian Sailor Home.“

Obecnie przebywa ich zawsze w tym, jakgdyby domu ich ojczystym, na obczyźnie wzniesionym, około stu, i znajdują tu od modlitwy porannej w języku rodowitym, do potraw, do zwyczajów codziennych kraju swego wszystko, co jest jego wspomnieniem i gdzie budzi im się w duszach pa-

mięć tego, co pozostawili daleko i dlaczego ta ich rodaczka szlachetna pragnie ich zachować w zdrowiu ciała i duszy.

Każdy z przybywających składa w ręce poświęconej kobiety posiadane pieniądze, biorąc od niej osobiście, każdego rana, ile na dzienne potrzeby uzna za potrzebne. Nie jestto obowiązkiem, ale stało się już zwyczajem domu i każdy usłyszy przy tej sposobności od podskarbini swojej tkliwe przypomnienie o rodzicach starych, lub żonie i dzieciach, zostawionych w ojczyźnie, usłyszy przypomnienie ich potrzeb, prośbę łagodną o pamięć na nich, o napisanie listu, przyczem bardzo często ona sama jest sekretarzem, pióro trzymającym i zwykle też, prawie zawsze, dołącza się do listu przesyłka pieniężna, co wszystko ona sama na pocztę wyprawia, a co odkradanem zostaje złemu użyciu, wybrykom dzikim.

Często też majtkowie składają w ręce swej gospodyni to, co chcą wnieść do kassy oszczędności. Każdy ma w regestrach jej zapisane *conto* swoje, podobnie jak nazwę okrętu, na którym puszcza się dalej na morze, oraz miejsce do którego płynie. Że przytem zapisanem zostaje i adres jego rodziny, nie przepada nigdy bez wieści, ani syn rodzicom, mąż żonie, ani żaden grosz jego nie ginie dla nich. A gdy się doda do tego wpływy moralne tej kobiety, która osobiście to wszystko prowadzi już rok ómy, nie zadziwi się czytelnik, że książę Oskar Szwedzki przyszedł ją odwiedzić w jej domu, że dopełnił względem niej tego aktu uszanowania i szacunku, na który zasłużyła sobie u wszystkich szlachetnie myślących ludzi.

Podobizna jej podana w pismach angielskich, przedstawia bardzo miłą, ładną twarz młodej jeszcze kobiety, której wszystkie włosy, krótko obcięte, odczesane są do góry, okazując bardzo szlachetne, wysokie czoło. U białej kryzy pod szyją jest przypięty kwiat—razem jest tu wdzięk, jest wyraz rozumu, dobroci i prostoty wielkiej – coś sympatycznego, co patrzy z oczu i wygląda z poważnego wyrazu całego oblicza.

M. I.

BYRON.

(Dalszy ciąg).

Dziecię, córeczka, nazwana biblijnie „Adą“ [1]) przyszło na świat już wtedy, kiedy z ogromnych zasobów została tylko bieda i troska. Zgodnie postanowiony wyjazd Lady Byron do rodziców był dla kobiety przyzwyczajonej do dobrego bytu koniecznością narzucaną przez najelementarniejszy interes własnej osobistości; a przeciwko wyjazdowi nie walczyła miłość, bo jej w tem stadle nigdy nie było. Zdaje się, że już odjeżdżając od męża, zawiedziona kobieta żywiła zamiar rozstania się z nim nazawsze. List teścia po przybyciu córki do domu rodzicielskiego objawił ten zamiar Byronowi. Prócz rorzutności i symptomatów pomieszania zmysłów, miała pani Byron jeszcze inne powody do żądania rozwodu. Później, już po rozejściu się, w skargach jej wystąpiły takie czyny, że Shakespeare powiedziećby o nich musiał, iż mordują moralność. Proces rozwodowy zalecili Sir Samuel Romilly i Dr. Lushington, dwaj wielce poważani prawnicy. Sądy angielskie są dla arystokracyi do dziś dnia surowemi w dawaniu rozwodów; tymczasem sąd w r. 1816 państwu Byronom nadspodziewanie łatwo i prędko rozejść się pozwolił: w trzy miesiące małżonkowie byli już wzajem wolni od siebie. Przypuszczać przekupstwo mogą tylko dzieciaki. Rzeczywisty powód i przewód sądowy ukrywają się ciągle jeszcze w tajemnicy i pewno nigdy z mroków jej nie wyjdą. W każdym razie przedstawianie Byrona, jako ofiary, a jego żony—jako jędzy na niego czychającej, jest wręcz lekkomyślnością. I Macaulay zbyt porywczo oburza się na społeczeństwo angielskie, i Brandes, podbity i rzeczywistą wolnomyślnością i niejasno pojętym realizmem w życiu i w poezyi, przedwcześnie na korzyść poety rozstrzyga wszystkie wątpliwości zaciemniające sprawę rozwodową Byrona [1]).

Nieprzeznaczeni dla siebie — a istotę, któraby Byronowi na żonę przeznaczoną być mogła, trudno sobie wyobrazić—rozeszli się, i było to największe ich szczęście małżeńskie. Byron zpoczątku zaciął się i nie chciał korzystać z majątku żony, ale później zmiękł i palące trochę funty sterlingi do kieszeni pozgarniał. Dziecko, oczywiście, zostało przy matce, która je wychowała uczciwie i rozumnie. Wdowieństwu pani Byron towarzyszyła aż do śmierci (d. 16 Maja 1860 r.) wielka dobroczynność, głośna na cały kraj.

Z usposobieniem swojem, pod żarem opinii publicznej, która go potępiła za cynizm w lekkomyślności, a nie za zbrodnie dowieśdź się niedające. Byron nie mógł już teraz wytrzymać w Anglii, i rozumiemy to zupełnie, że teraz właśnie, już nie w głodzie fantastycznych wrażeń, ale w trwodze rzeczywistych bólów, ucieka z ojczyzny. Dnia 17 Marca 1816 r. rzucił żonie ostatnie „Bądź zdrowa!“ (*Far thee well* w *Domestic pieces* Tauchnitza), a d. 25 Kwietnia t. r. pożegnał Anglią nazawsze. Niegodną takiego umysłu jest licha własna obrona w liryce *A Sketch*, jak wysoce nieszlachetnem, dowodzącem tylko zakamieniałego sobkowstwa, jest znowu złorzeczenie żonie w *Lines on hearing that lady Byron was ill*, napisane już w Szwajcaryi we Wrześniu 1816 r. [2]) Dźwięczny, melodyjny głos duszy odezwał się w uroczystej chwili rozstania tylko do siostry Augusty; a chociażby odkrycia pani Beecher-Stowe oszczerstwem być miały, każdy trzeźwy umysł z całości życia i poetyzowania wycisnąć musi przekonanie o anormalnie tu wybujałem uczuciu rodzinnem. Pierwszem miastem stałego lądu, w którem się Byron zatrzymał, była Bruxella; zwiedził tak świeże jeszcze pobojowisko pod Waterloo; zboczył z Belgii do Francyi i, wróciwszy w krainę niderlandzką, Renem popłynął na południe. W lecie stanął w Genewie. Tu poznał się z Shelleyem, głębszym, ale przez czyn poetyczny mniejszym od siebie poetą, a z podobnej, co i on sam, przyczyny również dobrowolnym wygnańcem. Shelley rozwiódł się się z pierwszą żoną, za którą był szalał, i przebywał teraz nad rozkosznym Lemanem z drugą, nie zdoławszy dla niej odrazu wyrobić wszystkich prawnych tytułów. Towarzyszyła jej siostra, ku której znowu, bez wielkiej, zdaje się wzajemności, uderzyło niestrudzone serce poety. Mieszkał Byron w willi Diodati, odbywając w towarzystwie Shelleya lub sam wycieczki w Oberland berneński. Rozmiłowany w Jungfrau, jak Słowacki, nigdy jednak takich uroków w duszy swej nie zbudził, jakiemi tchnie poemat *W Szwajcaryi*. Nic dziwnego: w jednym było więcej oderwanych pożądań duchowych, niż pełnego całą istotą życia; w drugim życie nerwowe ciężarem swoim przytłaczało ogromnego ducha. Wrażenia z podróży do Szwajcaryi skrystalizowały się w trzeciej pieśni *Childe Harolda*, rozpoczętej zwrotem do córki, a dokończonej w Ouchy nad Lemanem — w tajemniczych groźnych krajobrazach *Manfeda*, ożywionych upostaciowanemi duchami gór i duchami dziejów,—w Sonecie do Jeziora Genewskiego, w najspokojniejszym artystycznie najwyższym poemacie *Prisoner of Chillon*, zajmującym w całości poetyckiego trudu Byrona miejsce podobne do tego, jakie u Słowackiego należy się *Ojcu Zadżumionych*. Nad Lemanem powstały wspaniałe obrazy „Ciemności“ i „Snu“, przyswojone przez Mickiewicza dumny manifest *Prometheus*, żal po Sheridanie p. t. *Monody on the death of Sher.*, wreszcie uderzające prostotą wysłowienia poetyczne westchnienie nad grobem młodego Churchilla, wspomnianego także i w trzeciej pieśni *Childe Harolda*. Obok wpływów martwej natury działały i wpływy żywego umysłu: Byron w późniejszych swoich, filozofizmem połyskujących poematach wiele zawdzięcza Shelleyowi. Jasna ta głowa nadała postąć stałą jego panteizmowi. Na akt III *Manfreda*, rozpoczętego w Szwajcaryi, dokończonego dopiero w 1817 r., w Wenecyi, tchnął myślą swoją Shelley.

Podczas pobytu nad Lemanem odnowił Byron znajomość z panią de Staël, która, wypędzona przez Napoleona z Paryża, szukając dla siebie miejsca w Europie, przez dłuższy czas zamieszkiwała w Londynie. W doświadczenie życia bogata, autorka „Korynny“ pozostała nieczułą dla poety, wtedy, kiedy modą było szaleć za nim; lecz teraz przyjęła go życzliwie, mile go widywała u siebie i częste z nim prowadziła rozmowy. W jej-to mieszkaniu, w Coppet, zdarzyło się raz, że jakaś Angielka, dowiedziawszy się o obecności Byrona, z trwogi przed takim antychrystem zemdlała. Zaczęło się już Byronowi przykrzeć w Szwajcaryi. Z początkiem jesieni, jak zawsze, natłoczyło się w Genewie dużo Anglików. Poecie było już duszno; w końcu Października wyjechał do Włoch. W Medyolanie zabawił sześć tygodni, tu poznał Stendhala, którego uderzył—jak już wiemy—swą pięknością, — i gwałtownemi wybuchami, jakby poczynającego się waryactwa.

Do Wenecyi zawitał w Grudniu 1816 r.; wziął ze sobą przyjaciela młodości i towarzysza pierwszej już podróży, Hobhouse'a. Pobyt w Wenecyi był najodpowiedniejszym, jeśli nie dla twórczości, to dla temperamentu poety; znalazł się tu odrazu w swoim żywiole, i oblubieńca Adryatyku rzuciła mu się w objęcia. Pieniądze napłynęły z Anglii; miał za co żyć, o resztę był spokojnym. Zamieszkiwał przy jakimś człeczynie, który był rad, że ma tak wielkiego męża za lokatora i nie dbał już o nic więcej. Przez pierwsze pół roku pobytu nad Adryatykiem biografia, chcąc nie chcąc spotkać się musi z nazwiskiem Maryanny Segati, powabnej dwudziesto - dwuletniej Wenecyanki, bardzo średniego tonu; ale ton był rzeczą najmniejszą dla para Anglii, dla człowieka, na którego Europa cała już wówczas miała oczy zwrócone. Shelley, którego przecież o nabożnisiowstwo, ani o świętoszkowstwo posądzać nie może krytyka naturalistyczna, broniąca nad słuszność i potrzebę, praw namiętności, pisze o całym sposobie życia Byrona w Wenecyi: „Zadawał się z hultajami (*wretches*), którzy sprawiali w najwyższym stopniu wrażenie istot niemających w sobie nic ludzkiego.“ Jeżeli kiedykolwiek życie dawało Byronowi natchnienie do poezyi, to życie jego ówczesne odczuć można doskonale w poemacie *Beppo* i w *Don Juanie*. Pierwszy z tych poematów jest jakby przedsionkiem do drugiego; lecz oba te utwory przypadają już na czas późniejszy. Na początku weneckiego swego karnawału wykończał Byron *Manfreda*; dopisał akt III i w Lutym miał już poemat gotowy. W Kwietniu zrobił wycieczkę do Rzymu, którego jeszcze nie znał. Po drodze, w Ferrarze, zebrał zasoby do *Lament of Tasso*, (napisanego w Apeninach d. 20 Kwietnia 1817 r.), wstąpił do Florencyi, gdzie zapewne przez nieład swój duchowy dał powód do tajemniczych a przerażających wieści, o morderstwie, w które sam nawet stary Goethe wierzył jeszcze w wiele lat później. Rzym wprawił Byrona w zachwyt. Z tem ogromnem wrażeniem, wyniesionem przez poetę z Wiekuistego Miasta, da się porównać chyba tylko urok, jakiemu uległ również w wielkiem ognisku ducha i skarbnicy pamiątek Zygmunt Krasiński; ale zachwyt Byrona jest wyższy, doskonalszy, bogaciej upostaciowany przez wyobraźnią. Krasiński jest może głębszym, ale ociężałym; myśl Byrona w prawdziwie orle

---

1) Właściwie „Augusta Ada“ późniejsza „Hrabina Lovelace“ zmarła jeszcze przed matką, d. 27 Listopada 1852 r. Jeden z jej synów skończył jako narwaniec w dokach londyńskich. Miał lat 26 i nosił tytuły „wice-hrabiego Ockham“ i „Hrabiego Wenthworth“. (*Przyp. Aut.*).

1) Oprócz *Manfreda*, *Caina*, śpiewu do Inezy w *Childe Haroldzie*, śpiewu Medory w „Korsarzu“, pierwszej pieśni *Don Juana*, liryków pojedynczych *To Augusta*, *The Sketch* i t. d., i pamiętników Moore'a o Byronie, świadectw w tej sprawie dostarczają dzienniki spółczesne, wyrok rozwodowy i osobne druki jak: *Medora Leigh* (London 1869), *The true history of Lady Byron's life* (1869), listy w *Quaterly Review* z r. 1869, listy w *Athenaeum* z r. 1883, *Letters on the Character of lord Byron* (autor Brydes). Pamiętniki spisane przez Byrona, jako posag dla dzieci Moore'a niejednoby powiedziały, gdyby ich sam Moore i Hobhouse, przyjaciele poety, w całości prawie nie spalili. (*Przyp. Autora*).

2) „Wiersze na wieść o chorobie Lady Byron.“ Nie można też bez nagany przepuścić zemsty nad żoną wywartej przez odmalowanie jej w Donnie Inezie matce D. Juana, w pierwszej pieśni poematu. Było to wszystko małe, maluczkie. (*Przyp. Aut.*).

wzbija się loty. Dopóki poezya poezyą, dopóty mało będzie piękniejszych wierszy nad strofy odnoszące się do Rzymu w czwartej pieśni *Childe Harolda*, która wogóle pozostanie po długich wiekach jeszcze jednym z najwybitniejszych tytułów Byrona do nieśmiertelności. Teraz już mógł poeta, wróciwszy na Laguny, napisać tę wspaniałą pieśń czwartą, którą od Wenecyi rozpoczął a majestatycznym, głębokim, potężnie wstrząsającym hymnem do Oceanu zakończył. Poemat cały był już gotowy w końcu 1817 r. i d. 2 Stycznia 1818 r. otrzymywał go w darze Hobhouse. Dwie drugie pieśni wywarły w Anglii silniejsze wrażenie, niż pierwsze, i tak być musiało pomimo całej niechęci, na jaką sobie w ojczyźnie zapracował, nie poeta, lecz człowiek. Z kolei powstała piękna „Oda nad Wenecyą“, gromadziły się zasoby do dwóch dramatów historycznych na tle dziejów weneckich, przechodził na papier *Beppo* i wylewały się dwie pierwsze pieśni *Don Juana*. Przytem,dziwactwa więcej, niż z potrzeby, uczył się poeta poarmeńsku u Mechitarystów, a w poważnym już celu pracował nad językiem i literaturą włoską, próbując przekładów. Z intelligencyą włoską spotykał się w salonie hrabiny Albrizzi, ale obcowanie to nie trwało długo. W środku r. 1817, gdy sobie urządził umyślnie wynajęty pałac przy Canal Grande na sposób najzupełniej, we wszelkich szczegółach, żywych i martwych, wschodni, gdy się rzucił już w toń upokarzającego dla takich duchów rozkiełznania, wtedy i sam do salonu wstręt uczuł, i jego już nie bardzo tam mile widziano. Przez jakie półtora roku panowała w domu jego niejaka Margareta Cogni, kobieta z ludu, żona piekarza, ztąd na portretach, do Anglii cynicznie przez samego poetę posłanych, nazwana „Fornariną Byrona.“

Dzięki takiej metodzie używania świata Byron w trzydziestym już roku życia łysieć i siwieć zaczął. Obawa utycia natchnęła go nierozsądną myślą dyetetycznego żywienia ich pokarmami przeważnie roślinnemi, z dodatkiem jaj, a nadmierne używanie wody z rumem i wina reńskiego, jakkolwiek niedoprowadzane nigdy do granic opilstwa, przy innych jednak czynnikach niezdrowia musiało złe jeszcze spotęgować i skazało organizm na śmierć przedwczesną. Można sobie wystawić, jak głębokim był upadek obyczajowy Byrona, kiedy wszyscy biografowie, wszyscy świadkowie życia i życzliwi znajomi, zgadzają się na jedno: iż nowy stosunek miłosny, zawiązany na wiosnę 1819 r. w Wenecyi, był dobrodziejstwem dla geniuszu poety, gdyż uratował go może od zupełnego zapadnięcia się w ogólnej ruinie żywotności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Stanisław patrzył za odjeżdżającą, póki nie zniknęła mu z oczu. — Śliczna... — rzekł — śliczna i dziwnie powabna z tą swoją gibką a wyprostowaną kibicią, mocno na koniu siedząca...

— A śmiała i odważna, i dzielna, że się nie boi tak sama przez pola i las puszczać—dodał.

— Kocha widać silnie — ciągnął monolog — kocha i z miłości, z miłosnej tęsknoty tę odwagę amazonki czerpie, i śpieszy tu, aby się znaleźć w miejscach, gdzie mieszka dla niej żywe ukochanego człowieka wspomnienie, gdzie obraz jego występuje przed oczy jaśniej na tle jego rodzinnego domu.

Nie wrócił się w podwórze, ale zamknąwszy wrota, chciał, obchodząc je, dostać się na gumna, do owej poszywanej stodoły, za którą p. Michał, tak wdzięcznie mu dziękował. Pragnął bezwiednie przedłużyć sobie chwilę rozmyślania o tej pięknej i dzielnej, o której myśląc, dodawał sobie jeszcze:—nieszczęśliwa...lecz niezwykłe u niego roztargnienie wypłatało mu figla. Zamiast w miejscu, gdzie się szpaler i opłotki dziedzińca okrągło zataczały zwrócić się nalewo, poszedł prosto przed siebie i wyszedł w pole, szedł tak ze staję drogi, nie myśląc gdzie idzie, aż ktoś spotkany, który mu powiedział: — Niech będzie pochwalony... przyprowadził go do spostrzeżenia się na jaką to wędrówkę się wypuścił. — A... — rzekł, oglądając się, gdzie zaszedł — gdybym ja też, na dobitkę wszystkiego, co mnie gniecie, zakochał się jeszcze...

— Ale nie...—dodał sobie z siłą i dumą pewną —nie! Ta p. Wanda musi być dla każdego uczciwego człowieka, jak świętość jakaś, na którą nie wolno mu nawet oczu podnieść... Że przecież w tejsamej chwili obraz jej w wyobraźni jego odbity przed nim stanął, zmarszczył się na siebie. — Ach! jak człowiek jest słabą istotą! —zawołał — postanowienia, które robi, to jak liść wiatrem niesiony! On sobie, a czart sobie... to jest sobie jego rozum i pojęcia o złem i dobrem, a jakaś druga, skryta w nim istota — jego pragnienie szczęścia, jego pustka serdeczna — sobie!...

— Ale od czegóż jest wola... od czego jest uczciwość i honor — sumienie... — dodał surowo, łając się za tę filozofią niemocy. Nie to, co człowiek uczuł, ale to, co uczynił, zostaje zapisanem w jego księdze rachunku z życiem. Gdyby mi przyszło uledz i zająć się tą biedną dziewczyną, a nawet więcej: zakochać się w niej szalenie, na zabój, tobym jeszcze nie zdradził się wobec niej, nie już słowem, ale jednem spojrzeniem gorącem. Stawać takiej szlachetnej istocie na drodze obowiązku, to—nikczemność!

Mówiąc sobie to wszystko bardzo żywo, prawie namiętnie, jakgdyby już się musiał ze sobą o coś spierać, znów nieuważnie szedł naprzód i zapędził się kawał drogi, aż opamiętawszy się w końcu przy jakimś kamieniu i bocznej dróżynce, zrazu gniewnie, a potem ze śmiechem ramionami na siebie ruszył. — Czyż ze mnie nie waryat, który nie wie co robi?...—zawołał.— Ładna dziewczyna to jak kwiat szaleju... trocha wciągniętej woni już odurzy i równowagę zmiesza.

Zawrócił w tył, ale już nie mógł zatrzymać się w rozprawianiu ze sobą. Nauczył się tego w położeniu swojem dziwnem. Kłamał przed ludźmi człowieka innego i ten prawdziwy, który w nim był, mieszkał niby na pustyni, był Robinsonem Cruzoe. Więc jak Robinson prowadził ze sobą rozmowę.—Wanda...—mówił...—Wanda... to dziwnie słodkie imię.

Dźwięk ten grał mu w uszach, jak muzyka, a że był jeszcze w pustem polu pozwolił sobie na przyjemność wymówienia głośno:—Wanda....

Przypomniał sobie z kolei brzmienie jej głosu, jej oczy, twarz, postawę, sprawiało mu to przyjemność niewymowną malować tak sobie w wyobraźni jej obraz, aż znalazł się wreszcie na tem miejscu rozstajnem, które go tak zdradliwie wywiodło na manowce i ruszył znów ramionami myśląc, jak mógł tak puścić się na spacer, gdy tam ludzie czekali u roboty na dyspozycyą jego? — Niechno ja tylko nauczę się błądzić na znajomych drogach i śnić na jawie—rzekł sobie z napomnieniem surowem. — Czy przypadkiem nie zaczyna mnie już chwytać lenistwo, czy nie odchciewa się już tego, co tak niedawno jeszcze było postanowieniem najszczerszem, najmocniejszem?

Gniewnie potarł czoło i aby wynagrodzić czas stracony, szybko dążył tam, gdzie go rzeczywiście oczekiwano. — Zabałamuciłem się bracia — zawołał też, gdy się na koniec u celu, to jest u reperowanej stodoły znalazł.—Będę wam za to pomagał, aby prędzej poszło... Dajno Maxymku toporka i te kołki oto...

Do zachodu słońca pracował tak, jakgdyby był rzeczywiście najętym do tej roboty z toporkiem i kołkami; pracował do gorącego znoju na czole i doznawał pewnej przyjemności, gdy go ocierał. Lękał się rzeczywiście, czy nie zaczął się w nim ten proces niedobry, który pospolicie nazywamy stłumieniem ducha.

Spracowany, spał potem twardo i nie miał też snów żadnych, któreby mu odtwarzały obrazy zdarzeń dziennych, ale gdy za otworzeniem oczów spojrzał w okno, w ogród oświecony złotemi blaskami poranku, postać p. Wandy, jakgdyby wystąpiła z nich do niego. Może stało się to przez analogią z tym pięknym bukietem lilii, które wczoraj przywiozła p. Michałowej, w każdym razie ujrzał ją i jej oczy, jej usta śliczne i kibić wysmukłą, przypomniał sobie jej uśmiech, czar jej spojrzenia i złączył to z myślą, jak przebywanie z nią, rozmowa musi być pełną uroku, pełną słodkiej przyjemności?

Ale z przezorności, aby nie opóźnić się kiedy ze wstaniem, z dozorem gospodarskim, Stanisław tak zawsze wieszał sobie zegarek wprost oczu, aby zbudziwszy się, godzinę koniecznie widzieć musiał i to posłużyło mu teraz dobrze. Trzeba mu było odziewać się niemarudnie, niemarudnie kłaść szaraczkową swą sukmankę, a potem na myśl przywieśdź wszystkie swe rozporządzenia wczorajsze, kto i gdzie miał co robić, przecież są rzeczy tak w nas pokutujące, jak duchy zaklęte i dość było Stanisławowi na dziedziniec wyjść, dość mu było spojrzeć tam przed ganek, gdzie wczoraj pięknej amazonce konia trzymał i cugle podał, ręki dotknął, aby stanęła przed nim, jak żywa, ze wszystkiemi szczegółami tego, co ją otaczało wtedy, i on rozśmiał się ze siebie: — Oczarowała mnie chyba... — rzekł — zadała mi coś...

— Jest to przecież waryactwo — dodał poważniej, idąc dalej ku furtce na gumna prowadzącej, waryactwo, które mnie najniepotrzebniej napada.

Żadne waryactwo nigdy potrzebnem się nie wydaje, a jednak wchodzi ono w skład ludzkiego życia i ten, któryby od kolebki do mogiły zawsze trzeźwym był, musiałby powiedzieć sobie, u mogiły tej progu, że nigdy nie żył... Mądrość, która jest serc ludzkich lekarką, czy nie dlatego tam zstępuje, że przeszła tamtędy choroba, cierpienie, ból, waryacya? Stanisław znać przystał trochę na pakt taki, bo gdy rękę na kołowrotku położył, przystanął. — Nie wiem, czy się to wrażenie potęgować we mnie nie będzie—rzekł—nie wiem, czy mu się obronię, bo ludzka natura jest rozmaitą, a ja pod tym względem nie wypróbowałem się jeszcze. Ale tego już pewnym być mogę, że nikczemnie nie postąpię i choćbym na dokończenie wszystkich nierozsądków mego życia, jeszcze sobie teraz miłość do serca wpuścił, musi to być miłość, milcząca, jak grób!

— Gdyby ta piękna, ta dobra dziewczyna usłyszała ode mnie raz słowo gorące, gdyby raz zobaczyła strzelający mi z oka płomień namiętności, tegosamego dnia palnąłbym sobie w łeb...

— Tak... bo wtenczas byłbym czemciś gorszem niż utracyusz, przegrałbym coś więcej, niż to, com dotąd na kartę stawiał — wtenczas byłbym łotrem...

Czoło do góry podniósł, zdjął z głowy kapelusz i zapuszczając wszystkie pięć palcy ręki między piękne jasne swe włosy, przegarnął je wskroś. — Mogę pokochać, bo to sprawa tylko ze mną samym: z dolą lub niedolą moją, ale przemówić, ją kusić, ściągać w dół i poniżać...—nie. Jeszcze się tak nizko nie szacuję, aby się o to dla siebie lękał.

Furtkę otworzył i szedł na okólnik ku zabudowaniom gospodarskim, mając po lewej swej ręce płotek dziedzińca i stary szpaler grabowy, w którym było pełno szczebiotu, gwaru ptasiego, pełno szmeru i ruchu. Szara makolągwa siedziała na słupku płota i zdawała się patrzeć na idącego przekręcając główkę, a on łagodnie uśmiechnął się do niej: — Nie, ptaszynko, nie! — rzekł trochę smętnie — podłym, podstępnym zdrajcą i złodziejem cudzej własności—nie będę nigdy! O to nie bój się...

— Ale ze sobą wolno mi robić co chcę — kończył gorąco. Z sercem walczyć jest to może stawać do walki nieprzewalczonej, do walki, która się zawsze przegrywa. Po co na to tracić siły, których potrzeba gdzieindziej—tracić je nadaremnie? Zbiorę je wszystkie, aby mi służyły w sposób inny.

— A przytem, czy miłość nawet nieszczęśliwa jeszcze szczęściem nie jest? Nieszczęście prawdziwe, nieszczęście zupełne — to pustka serca, czczość jego i chłód... Gdybym ja był spotkał tam kędyś na drodze mojej istotę tak wdzięczną, dobrą i słodką, abym był pokochał, czyż-bym tu był teraz, syn wydziedziczony, na służbie u rodziców cudzych? Jest szczęście nieszczęśliwe w miłości, która musi być milczącą, i ja się nie wzdrygam przed nią, bo to jeszsze jest coś,—coś, co pierś grzeje...

Przyszła mu naraz do głowy stara, niby dumna, smutno-wesoła piosenka i zaczął ją nucić idąc:

— Serce to nie sługa, nie zna co to pany...

— Dzień dobry kochasiu... ozwał się z tyłu za nim głos p. Michała: — Kontent jestem, że sobie śpiewasz, bo ci tu widać u nas nie najgorzej...

— Tak — odparł Stanisław łagodnym, poważnym głosem — jest mi tu, panie, dobrze, lepiej, niż było gdziekolwiek.

Tak czuł w tej chwili. Jutrzenka miłości ma zawsze to światło różowe, które wszystko wkoło nas zabarwia wdzięcznie i daje sercu ciepło, rozkosznie ogrzewające. Potem mogą przyjść ogniste, piekące żary, mogą serce palić, mogą je w popiół obrócić, ale każdy początek miłości jest pełen rozkoszy i szczęścia, bo serce otwiera się wtedy, jak kwiat, i jak kwiat wydaje z siebie słodką woń dobroci, przychylności dla wszystkich i dla wszystkiego, do szarej ptaszyny na płocie, do trawki, robaczka maleńkiego. Kto kochając, nie doświadcza tkliwej dla ludzi życzliwości, kto może być wtedy jeszcze ostrym i surowym, i komunią szczęścia nie pragnie się dzielić ze wszystkiemi do około—ten nie kocha prawdziwie i egoista to już jest taki, że głęboko, szczerze, ofiarniczo nigdy kochać nie potrafi. Stanisław był dziś w przedświcie miłości i mógł powiedzieć p. Michałowi: — Panie, jest mi tu dobrze w Rudawicy twojej...

Z kolei odezwała się w nim pewna żywość śmiała i do czynu pohcpna. Stary powozina pp. Michałowstwa już był jako tako oporządzony, odmalowany, fartuchy fordeklów miały zapinać się na co, półszorki zostały też doprowadzone do przyzwoitego wyglądu, do czego Stanisław jakoś cudownie doprowadził przy pomocy miasteczkowego rymarza. Urodzaje dobrze się zapowiadały, on zaś sam obiecywał p. Michałowi dwa razy tyle siana, niż zbierano go zwykle, bo i obszerne polanki leśne kosić postanowił i łąk bardzo troskliwie pilnował; lecz teraz oto na owe spodziewane korzyści licząc, dopuścił się śmiałości nie lada. P. Michałowa kiedyś w rozmowie z nim westchnęła, że dawniej jeździła zawsze temi czasy do drugiej parafii na odpust w dniu Ś-go Antoniego, ale obecnie już tego zaniechała.—Tam się zwykle zbiera wielki zjazd ludzi już z okolic dalszych, i jak się takiemi szkapinami wlec?... Dwie mile drogi i piaskami wielkiemi...

Nie domówiła, że jej przykro jest nędzę swoję przed obcymi prezentować, że to i męża zgryzłoby pewno, ale Stanisław zrozumiał biedną kobietę. Rozmowa ta miała miejsce parę dni temu i on się namyślał, jakby tu przyjść do jakich takich koni, któreby przecież do powozu ujść mogły—mogły go uciągnąć? Za swoje kupować nie śmiał. Już cichaczem jednę ratę jakiegoś podatku zapłacił, tłómacząc p. Michałowi, że prolongatę w powiecie uzyskał, a że to zwalniało od exekucyi: załogi trzech żołnierzy, którym trzeba było za każdy dzień exekucyi płacić i wraz z końmi żywić, pod dachem swym mieścić; pan Michał aż ręce do niego z radości wyciągnął i w głowę ucałował, a potem przed żoną wieczorem się unosił, że im już chyba cud boski takiego ekonoma zesłał. — Jaki on obrotny, moje życie... jak umie interessa robić — opowiadał.—Jeszcze tu mało kogo zna, a poradził sobie lepiej, niżbym ja to umiał. Prolongowali, moje życie, aż do przyszłej raty... Uważaj-no—do Września... Kiedy pomyślę, że wstawszy jutro rano, już exekutorów nie zobaczę, to bym go jak rodzonego syna ściskał... A jeszcze i Staś... To już miłosierdzie boskie nad nami... wyraźne miłosierdzie i cud...

Przecież Stanisław obawiał się dalej posunąć granic cudowności. On się też do tej pary staruszków biednych coraz więcej synowskiem niemal sercem przywiązywał i zmartwić ich, upokorzyć bał się bardzo. Duma ubóstwa bywa u pewnych ludzi, zwłaszcza u ludzi, którym było kiedyś lepiej na świecie, bardzo drażliwą, ale naraz zrobił się Stanisław odważniejszym. U młynarza w sąsiedztwie była para koni bardzo dobrych, do lepszego nawet powozu ujść mogących, i on teraz targować je zaczął, stargował nawet, zadatek dał i w pewnej chwili spokojnej do pokoju p. Róży cicho się wsunął. Nad wieczorem to było: kobieta siedziała przy oknie otwartem i tęskny wzrok w dal posyłała; nie mógł on dolecieć tam, gdzie jej myśli biegły, jednak słała go tam ona, bo dla miłości, dla tęsknoty nie na przestrzeni i matka stara patrzyła w tę stronę, kędy za lasami, za górami, za rzekami był jej Staś, a usta szeptały modlitwę nowenny do Ś-go Antoniego, gdy drzwi otworzyły się leciutko i wszedł Stanisław. Nie rozgniewała się, że jej modlitwę przerwał, a nawet markotną nie była. Odgadywała w nim, podobnie jak i p. Michał, człowieka, który przez jakiś ciężki los przeszedł, a przytem był Stanisław... i dla nich jak rzeczywiście cudem zesłany.

— Ja tu przyszedłem po radę jednę — rzekł, a gdy p. Róża podniosła niego oczy pytające, on jej zaczął opowiadać, że nadarza się przypadkiem interes bardzo korzystny, którego on jednak na swoję odpowiedzialność zrobić nie śmie. Młynarz ma konie, które sprzedać chce.... dwa razy mu je zajmowano, bo w szkodę weszły, a osobnego chłopaka do nich trzymać—nie opłaci się. Teraz każdy musi iść do roboty i z końmi bieda. Drożył się z niemi na jarmarku, teraz-by z ceny spuścił, nawet zapłaty zaraz nie wymaga, byle ktoś pewny konie sobie wziął.

— Wcale dobrze wyglądałyby u powozu na odpuście w Trościeńcach — dodał Stanisław do tych niby słów młynarza trochę nieśmiało, bo było mu rzeczą przykrą przed tą dobrą, przed tą wierzącą mu, kłamać. Są pod ręką i posłużyłyby właśnie na odpust....

Byłeby to umożliwieniem modlitwy matki za syna! Smutne serca kobiece—kobiece serca nieszczęśliwe muszą podnieść aż do Boga nadzieję swoję, gdy na świecie niéma już dla ich szczęścia oparcia, bo inaczej jużby się nie zdołały utrzymać na ziemi. I kobieta, gdy nad ukochaniem swojem sama czuwać nie może, potrzebuje też zwierzyć straż nad niem Bogu, jeżeli serce nie ma jej pęknąć w piersiach z żalu i niepokoju. Pani Róża, która, patrząc w dal nieprzejrzaną, posyłała tam modlitwę—p. Róża prosta, skromna, pokornego, wierzącego ducha kobieta, rozpłakała się.—Ach!—szepnęła—jabym tak chciała tam jechać, ja już ślubowałam sobie iść pieszo, tylko nie wiem czy zajdę....

Wzruszona, szczęśliwa, patrzyła z wdzięcznością w oczy Stanisława, gdy ten w dalszym ciągu opowiadał jej, że młynarz zostanie spłaconym, skoro tylko skoszą się łąki i zestoży siany. Pozna się wtedy, co będzie trzeba na swój użytek zostawić, a resztę się do ludzi wywiezie. Wielki urodzaj tego roku, trawy w pas....

Pani Róża obiecała, że męża do interessu skłoni. i gdy Stanisław sięgnął po rękę kobiety, aby ją, jak syn, do ust ponieść, ona położyła na jego ręce drugą rękę swoją: białą, chudą zmarszczoną rękę. —Nie cię Bóg błogosławi—rzekła. — Wiem ja, że to nie młynarz konie nam narzuca, ale tyś ich poszukał w poczciwości twojej i skoro masz nadzieję, że na jesieni się spłaci, to zrób jak chcesz....

— Niech cię Bóg błogosławi — powtarzała—niech cię nigdy nie spotka strata tego, co sercu twemu drogie....

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 2 Marca 1888 r.

Dalszy ciąg zimy. — Klęski. — Polak zbawcą. — Piece Szuberskiego. — Sprawa Wilsona. — Surowe przemówienie prezesa.—Wyrok potępienia.—Echa trybunalskie.—Karnawał i brak hec ulicznych.—Bale i obiady. — Polityka za stołem. — Mowa kanclerska i jej wrażenie.—„Furor Teutonicus.“ — Tłómaczenie ze staréj kroniki. — Choroba Następcy Tronu Niemieckiego.—San-Remo.—Wystawy sztuk pięknych.—Wystawa kobiet artystek.—Mirlitony.—Jerzy Ohnet.—Poznanie go osobiste.- Jego ostatnia powieść *Volonté*. — Bajeczka o brzydkiej pannie i o pięknym królewiczu.

(Dokończenie.)

Do karnawałowych resztek można zaliczyć politykę i politykujących. Przycichli! i nawet sztuczny grzmot wymowy kanclerskiej, nie sprawił na nich spodziewanego efektu. *Poczciwy Mekler* tyle już razy ich straszył i strachem rozśmieszał, że ludzie tutejsi zaczynają myśleć, iż te błyskawice i pioruny mogą być, jak owe zakulisowe tylko maszynerye, tego wielkiego mistyfikatora. Może to bezpieczeństwo jest trochę przedwczesne. Nie trzeba nigdy zbyt wierzyć Danaom: kto wie, co ten zacny mekler w zanadrzu nosi? Ale jest to przecież fakt do zaznaczenia, że sławna jego mowa, ów *Furor Teutonicus*, nie sprawił tu takiego wrażenia, jakiego spodziewano się nad Szpreą. Czyżby doprawdy ludziska tutejsi zmądrzeli i poszli do głowy po rozum? Kto wie? różnie bywa na świecie!

Ale, ale, co do owego „Furor Teuetonicus, jest podanie, które go inaczej tłómaczy. Jest, a raczej był na świecie, pewien kanonik królewiecki, imię jego w tej chwili uciekło mi z pamięci, który napisał obszerną kronikę pruską, w stylu i w sposobie, jakie się praktykowały w jego wieku, to jest: w wieku XVII. Mówiąc o zawojowaniu Pomorza przez Sasów i Niemców i o zasiedleniu przesławnej Brandenburgii powiada: że ta rasa ludzi posiada tak straszliwą zdolność do narastania liczebnie, iż dosyć jest wpuścić jednego, żeby się wkrótce stu znalazło. A z tą dokładnością wyrażenia właściwą pisarzom XVII wieku, dodaje, że ród ten jest to prawdziwy: *Accarus Germanicus*. Kronika ta, dotąd w rękopiśmie trzymana, znajduje się w Bibliotece Publicznej w Berlinie. Przypomniałem to zpowodu odezwy o „Furorze“, bo to zastosowane do teutońskiego szczepu, choć mniej szowinistyczne, niż kanclerskie, wydaje mi się jednak prawdziwszem.

Żeby raz skończyć z tem, co tu zajmuje uwagę publiczną, powiem, że wiadomości o zdrowiu Następcy Tronu Niemieckiego, ciągle jeszcze zapełniają kolumny wszystkich dzienników. Smutna to niestety, chwała, być w tak wielkiem nieszczęściu, przedmiotem tak żywej ciekawości powszechnej!

Po balach, obiadach, polityce, przyszedł czas dorocznych wystaw sztuk pięknych, które tu zwykle poprzedzają wielką wystawę majową. A więc oddajmy, co komu należy, a najpierw rzućmy okiem na wystawę „kobiet artystek.“ W jednym z salonów tego tak zwanego: „Palais de Cristal, Palais d'Industrie i t. p.“—jak w latach przeszłych, tak i dziś widzimy zbiór liczny obrazów i rzeźb stowarzyszenia kobiet, które wzrasta, jako liczba artystek, ale nie zdaje się bynajmniej wzrastać równie i w siłę. Nie chciałbym być niegrzecznym dla moich sióstr, ale muszę wyznać, że od wystawy przeszłorocznej nic się tu nie zmieniło, chociaż się i ku starości niezbyt pochyliło. Są to zapewne inne wcale obrazy, ale teżsame artystki, miłe, kochane, pracowite pszczółki — i niestety, teżsame plasterki miodu, w tychżesamych komórkach wosku! I tak, zawsze: naprzodzie taż sama pani Lemaire, ze swemi niezrównanemi kwiatami i owocami, i zawsze teżsame panie X. J. Z., idące w jej ślady, z tem samem dążeniem do doskonałości, które, niestety, nie przychodzi! I kwita. Nie, jest tu piękny portret panny Bilińskiej, to jest potret jej ro-

boty. Nie należy on może do rzędu jej dzieł najlepszych, ale zawsze pociesza to człowieka, któremu swój dym przecież nie wyjada oczu, bo choć te oczy zapłaczą, to przecież łza nie gorzka i nie boli. Pociesza mnie to, że i tu imię polskie wznosi się nad poziom i daje dobre o sobie świadectwo.

Trudno jest zrozumieć, dlaczego te panie pragnęły się odłączyć od wielkiego ciała artystycznego, którego, o czem nie wątpię, są prawdziwą ozdobą i chlubą. Spływając się z innymi w tem morzu produkcyi, które się zowie: „Wystawą doroczną Sztuk Pięknych“, możeby uniknęły właśnie ukazania zbyt widocznie tego, co przeważa na ich wystawie, jakby wyłącznej, a co mogłoby pozostać w cieniu. Za to, w swych wybitnych utworach, w dziełach prawdziwego artyzmu, każda z nich mogłaby powiedzieć i swoje: *quos ego*!

Drugą wystawą specyalną, która jest jakby uprzywilejowaną schadzką coroczną tego, co tu się zangielska zowie *high-life*, jest to wystawa klubu, znanego pod nazwiskiem: *Mirlitonów*, co znaczy, że ta wystawa jest patronowaną przez ten klub, do którego należy wielu z artystów bardzo znakomitych. Dawniej ta wystawa otwierała się w lokalu klubu, przy Placu Vendôme, w tym roku zpowodu, że klub ten zlał się w jedno z klubem Pól Elizejskich (dawniejszym klubem *de l'Empire*) i zanim, w nowym lokalu, znajdą się ku temu urządzone salony, tego roku, otworzono gościnne wrota dla publiczności w Sali Petit (od nazwiska przedsiębiercy tego lokalu), przy ulicy de Seize.

Jak zawsze, na tej wystawie klubowej, widzimy kilka wybitnych dzieł sztuki i nawał miernoty. 232 obrazy i obrazki i 32 numera rzeźbiarstwa. I nic nam nie powiesz o tem? zapytacie. Tak, jak nic, bo nie mówiąc o kilku dobrych portretach, a nie mówiąc dlatego, aby się nie zwrócić w gniewie do p. Carolusa Durana, za jego potret Alfonsa Karra, który tu występuje, istna karykatura! jakby stary Noe po powrocie z winnicy. Trudnoby tu powtarzać, dawno już oddane pochwały takim malarzom, jak: Meissonier, Bouguéreau, Bonnat, Cabanel, Gérôme; potrzebaby znowu wrócić do żołnierzy Detaille'a *e tutti quanti*. Byłoby czem zapełnić moję kronikę, ale cóż potem?

Opowiadanie wydać-by się wam mogło albo zbyt cierpkiem, albo zanadto słodkiem. Zadaniem mojem zresztą, nie są same tylko sztuki piękne, muszę, oile mogę, obejmować całość tutejszego życia. Powiedzmy więc tylko, że mistrzowie są, jak zawsze, na tejsamej linii; ale ta linia nie posunęła się, i dla nich, ani na jeden cal wyżej... Dwa przecież obrazy wychodzą jasno i czysto z tej mglistej, trochę atmosfery i zasługują na osobną wzmiankę. Są to: „Dziewczyna grabiąca siano“ (Faneuse), śliczna i jasna, jak dzień sielanka, przez Adana (Emila) i obrazek rodzajowy przez Santiago-Arcos, prawdziwa perła tej wystawy. Do kuźni, malowanej z całem mistrzowstwem starych Flamandczyków, mały chłopczyna przynosi do naprawy wózeczek. Kowal, stojący przy oknie, rozpatrując pilnie uszkodzoną zabawkę, zdaje się mówić: „To sprawa nielada“, co też powiada katalog: *C'est toute une affaire*, a stojący przy kowadle z ogromnym młotem czeladnik czeka na rozpoczęcie roboty. Trudno jest opowiedzieć cały wdzięk tego obrazu i całe uczucie subtelnej ironii, z jaką autor umiał nam przedstawić tę scenę. Dosyć tu dodać, że dwaj ostatni malarze idą śmiałym krokiem do owego równika mistrzów! Szczęść Boże!

Mówiłem o balach i obiadach. Na balach bywam raz na rok, i to około Wielkiej Nocy; bo na to, aby w niezmiernym ścisku ludzi posuwać się żółwim krokiem, z sali do sali, jak lalka w wertepie, na to trzeba być, albo bardzo młodym, albo mieć obowiązki publiczne, lub prywatne, trzymające jakby w niewoli egipskiej. Człowiek wolny, chybaby zwaryowawszy, odważył się na to w takie trzaskące mrozy, jakie nas tu trapią.

Z obiadami, to rzecz inna! W gościnnym domu dobrych, ale dobrych przyjaciół, a nie tam, gdzie się zaprasza tego lub owego dla zapełnienia luki przy stole... w domu więc dobrych przyjaciół, gdzie ciepło umiarkowane, atmosfera pełna przyjemnej woni, dyskretnie rozrzuconych kwiatów i kobiet, gdzie zaciszno i dobrze, jak w uchu, mówi nam przysłowie,—jeśli przytem doskonała kuchnia i rzetelna piwnica dają szczerze, co obiecują gospodyni i ozdobnie illustrowana banko cetla, lubię nie wyłamywać się z tego słodkiego obowiązku i nieźle na tem wychodzę.

W ostatnie dni zapust przyjąłem takie lube zaprosiny u dobrych przyjaciół i, jak sowitą otrzymałem nagrodę, kiedym się znalazł w nielicznem lecz dobranem gronie i gdzie mi za sąsiada dano p. Jerzego Ohnet'a! Nie mam potrzeby mówić wam chyba, kto jest p. Ohnet: wszakże jeśli się nie mylę, grają od lat kilku w Warszawie, z wielkiem powodzeniem dramat jego „Właściciel kuźnic.“ A jako powieściopisarz, musi on być wam również znany, bo ma już za sobą powieści: *Maître des forges*, *Comtesse Sarah*, *Louise Fleuron La grande Marnière*, *Rouge et noir* i inne, a, jako autor dramatyczny: *Regine Sarpi*, *La Morte* i dramata przerabiane z powieści.

Ale jakże on wygląda? i co to za człowiek?— zapyta mnie może w duchu niejeden z czytelników moich? Służę natychmiast. Brunet, średniego wzrostu, szczupły, wygląda na człowieka, lat trzydziestu kilku, a myślę, że jest może młodszym o te lat kilka; w całej postaci jest trochę sztywności, jakby wojskowego w cywilnym stroju, bez zbytniej przesady jednak. Popiersie i tułów, jak u Cesarza Napoleona III, są dłuższe, niż w zwykłej proporcyi ciała, ale to może być tylko złudzeniem, do czego powodem są plecy i ramiona zbyt podniesione w górę, co mu daje pozór, kiedy się go widzi stojącego, jakgdyby to był garbus, starając się wyprostować. Jest w tem może coś prawdziwego, bo i w pociągłej suchej twarzy, w ściągniętych rysach, jest jakiś dziwny wyraz, co przypomina trochę oblicza ludzi dotkniętych tą ułomnością. Ale powiadam, że to przypuszczenie tylko, bo reszty nie jestem świadom. Twarz przyjemna, rysy prawidłowe, wargi małe, powierzchnia twarzy wygolona i czysta, głos przyjemny, a sposób mówienia, jakby podzielony na krótkie okresy, czyni wrażenie, że człowiek mówiący nie ma zwyczaju tracić ani słów, ani czasu swego.

Rozgawędziliśmy się prędko, a kiedym mu powiedział, że jego „Właściciel kuźnic“, przetłómaczony na polski język, z wielkiem powodzeniem grany jest w Warszawie, widziałem, że mu to sprawiło i przyjemność, tembardziej, że to było nie żadne pochlebstwo, ale szczera prawda. Rozmowa nasza musiała, niestety, ograniczyć się do rzeczy bieżących i do literatury francuzkiej, bo Ohnet, jak prawie wszyscy Francuzi, ma bardzo słabe i dalekie, dalekie wyobrażenie o tem, co się dzieje u obcych narodów; obcy, jak niegdyś dla Greków, są dla nich w gruncie, *barbarzyńcami* co do mowy i twórczości, z wyjątkiem niekiedy jakiego dzieła (mówię tu o powieściach angielskich, włoskich lub hiszpańskich), reszta jest zagadką, o której się wie coś, ze słyszenia tylko. Teraz, dla mody, mówi się wiele o Tołstoju, o Dostojewskim, o Turgeniewie, ale to przez pochlebstwo i dla mody tylko, bo w gruncie żaden z nich nie wie nic więcej nad to, co im powiedział taki de Vogüé w *Revue des deux mondes*, albo jaki inny z ich pisarzów, który nie zawsze sam czerpał swe zdanie z oryginału.

Jest to zupełnie przeciwne temu, co się dzieje w tym względzie u nas i u wielu innych narodów, z wyjątkiem może Anglii tylko. Ale nie trzeba im mieć tego za złe, mówię o Francuzach: przywykli tak do tego, że ogół ich naśladuje, że wszyscy, a my pierwsi, na twarz padamy przed nimi,—nie wierzą zatem w wyjątki i pozostają przy swojem.

Nazajutrz po tym obiedzie uprzejmy autor przysłał mi, ze swoją kartką wizytową, ostatnią swą powieść, tylkoco wyszłą zpod prassy, dodając, że żałuje, iż osobiście mi jej doręczyć nie może, bo tegoż dnia wyjeżdża na południe do Monte-Carlo, gdzie czas pewien zabawi. Nadesłana powieść była to „Wola“ (*Volonté*), jedna z tej seryi, którą autor zatytułował: „Walki życia“ (*Les batailles de la vie*).

Układ jej, jak wszystkich powieści tego autora, jest prosty, jasny, bez żadnej tendencyi do filozoficznych zagadnień. Są to rzeczywiście epizody z walk życia, a cała strategia—to los! Tematem głównym jest to, że silna wola może zwalczyć i pokonać największe trudności i zwalczyć wszelkie zapory. To też bohaterka tej powieści, którą od młodości przezwano: „Panną *Ja tak chcę*“, panna Helena de Graville, dziecię zubożałej szlacheckiej rodziny, siłą swej woli i dzięki szczęśliwemu zbiegowi przyjaznych okoliczności, wychodzi ze skromnej kondycyi, prawie robotnicy, i zostaje żoną Ludwika Hérault'a, młodego milionera, wnuka wielkich przedsiębiorców paryzkiego przemysłu. Powoli wciągnięta w tę walkę życia, która się dla niej rzeczywiście rozpoczyna dopiero, z dniem jej zamążpójścia, Helena zmuszoną zostaje walczyć najpierw o serce i o posiadanie męża, a następnie, własnemi rękami dźwigać ciężar interessów i odbudowywać straconą fortunę.

Sama zaś powieść rozwija się wśród trochę splątanych nici tej wielkiej osnowy życia paryzkiego, gdzie, jak w rzeczywistości, nic nie jest wyłącznie i absolutnie prostem, ale się komplikuje i krzyżuje tysiącem codziennych wypadków.

Przy samem wejściu na drogę wielkiego świata i wielkiej fortuny Helena znajduje się wobec dwóch ludzi, z których jeden jest to wnuk jej chlebodawczyni, młody i słaby Ludwik Hérault, a drugi, rodzaj byronowskiego bohatera, piękny, posępny potężny Thauziat; obydwa w niej zakochani, ofiarują jej swe serca i proszą o rękę. Ostrzeżona przez swą przyjaciołkę Emilią Lereboulley, Helena mado wyboru pomiędzy temi dwoma, tak sprzecznemi charakterami ludzi. Po ważna, rozumna i silną obdarzona wolą, bardzo naturalnie wybiera słabego i mogącego liczyć właśnie na jej pomoc, wybiera Ludwika.

Wszystko, na co można być narażonym z istotą słabego, chwiejnego charakteru, staje się odtąd udziałem Heleny, która zmuszoną jest wystąpić nawet do otwartej walki, aby tego moralnego niedołęgę wydrzeć ze szponów tej paryzkiej harpii, która tu występuje w postaci pięknej, zachwycającej, ale zepsutej i przewrotnej angielskiej awanturnicy Diany Olifaunt.

W czasie całego tego dramatycznego rozwoju, wzruszających scen życia Heleny, Thauziat, na drugim stojący planie, odegrywa rolę owego chóru starożytnej tragedyi, który ostrzega o zbliżającem się nieszczęściu i przepowiada zgubę i klęski. Zakochany na zabój w Helenie, zostaje na stronie, ale widocznie przyśpiesza fatalne rozwiązanie, mogące mu powrócić tę, którą utracił z jej własnej woli.

Kończy się na tem, jak to bywa często w życiu, że ten posępny bohater nie dotrzymał wiary i chcąc gwałtem sprowadzić rozwiązanie tego dramatu, sprowadza nieuniknioną katastrofę, to jest: pojedynek z przyjacielem, a mężem Heleny, a w pojedynku tym bardzo sprawiedliwie znajdują zapłatę swojego gwałtu—śmierć! A ta silna i prawa niewiasta, pełna wiary i woli, zostaje przy zranionym mężu, aby go powrócić do życia, do domowego spokoju, do syna, który się rozwija pod okiem troskliwej matki, i do fortuny, którą odbudować należy wspólnemi siłami.

Jak widzicie, jest to prawie moralna powieść, i jest nią rzeczywiście, chociaż, jak we wszystkiem, co się tu pisze, w dziedzinie powieści, trudno jest uniknąć, aby to, co jest w życiu, nie weszło, nie wcisnęło się na kartki książki. Są tu więc sceny, których powieściopisarze nie-Francuzi, uniknęliby niechybnie. Nie są to plamy, nie—ale są to owe męty, o których mówił Malczeski, że osiadły na spodzie w brudnej a stojącej wodzie. Poruszając więc tę wodę, trudno nie wywołać mętów. Ale w porównaniu do tych naturalistycznych i nadnaturalnych powieści, jakie tu się piszą, „Wola“ Ohneta wydaje się utworem prawie bez skazy. Są rzeczy i sceny, które można było usunąć bez żadnej szkody dla całości; ale wówczas nie byłaby to powieść francuzka. Bądźmy więc pobłażliwymi, może to jest powrót na dobrą drogę. Nim zamknę ten długi nawias o Ohnecie, muszę jeszcze oddać sprawiedliwość autorowi, z jak wielkim talentem narysował i postawił jednę z najoryginalniejszych po-

staci swojej powieści Emilią Lereboulley. Jest to postać czysto-paryzka, oryginalna i subtelna; zdaje się, że ten portret jest zdjęty *de vivo*—i zostanie, jako typ brzydkiej, ale rozumnej i zacnej panny.

Ale, ale, co do brzydkiej, ale zacnej i rozumnej, a nawet coś więcej, — opowiadają tu sobie pocichu, aby nie spłoszyć zakochanego krezusa, opowiadają pocichu bardzo czułą romantyczną sielankę, coś nakształt pięknego królewicza i pięknej panny, zaklętej w brzydką napozór czarodziejkę. Mówmy więc cicho i ostrożnie...

Otóż powiadają, że... niech będzie królewicz, aby nie wychodzić z bajki, któremu niedosyć było korony, zajechał aż nad Sekwanę, aż tu nad tę Sekwanę. W ubogiej chatce żyła panna, bardzo brzydka, bodaj, czy nie garbata, jak mówiły złośliwe kumoszki; żaden chłopiec nie chciał na nią nawet spojrzeć. Ale ten brzydal-panna, miała złote ręce, któremi malowała, co chciała, a malowała tak, że to były istne czary dla oczu! A! miała i oczy, które, jak mówił nasz wieszczy Bohdan—świat-by cały obróciły w sługi.

Piękny królewicz zobaczył — jak? — tego nikt nie wie—to, co malowała panna—i odtąd codzień to częściej zaglądał do chatki owej czarodziejki. I powiadają, że teraz chce się z nią żenić... Są tacy, co temu nie wierzą, dlatego, a dlatego? Ja wierzę i życzę z całego serca—a dlaczego? nie mówmy tak głośno! żeby nie spłoszyć królewicza.

Y

PODRÓŻE NAUKOWE.

I.

Kongo.

Poznanie tej krainy nauka geograficzna zawdzięcza znakomitemu podróżnikowi francuzkiemu Savorian de Brazza. Towarzyszem jego w części podróży był kapitan 12-go pułku strzelców p. Decazes.

Sprawozdanie złożone przez niego Towarzystwu Geograficznemu w Paryżu ogłosił Figuier w swoim *L'Année scientifique*. Wyjmuję z tego opowiadania bardziej zajmujące wiadomości.

P. Decazes przepływał rzekę Ogue w zwykłem czółnie afrykańskiem, pirodze. Oba brzegi rzeki zamieszkuje plemię Pahuenów. Jest to ludność bardzo jeszcze dzika. Pahuen nosi bezustannie strzelbę na ramieniu; z dzikością obyczajów łączy wielkie zamiłowanie do handlu. Broń otrzymują ci Murzyni w zamian za kość słoniową i kauczuk. W niedługim już czasie okolice Ogue, jak i sama rzeka, dostaną się w wyłączne posiadanie Pahuenów, co zresztą nie będzie bez korzyści; jest to bowiem po większej części ludność pracowita, lubiąca czystość i porządek i posiadająca dużo przedsiębierczości.

Ostatnie miasteczko pahueńskie znajduje się u samego źródła rzeki Lolo. Po zwiedzeniu tej okolicy, dociera p. Decazes do Franceville zkąd dalszą podróż odbywał lądem. Przebywa część kraju Batekesów piaszczystą a mimo to pokrytą gęstą rośliną nadającą tej części kraju jasno-zieloną barwę. Dotarłszy do Diele, przedsiębierze znowu podróż łodzią po rzekach Alima i Kongo.

Brzegi tej pierwszej rzeki zamieszkałe są przez plemię Apfurów zajmujących się handlem, którego główny przedmiot stanowi *maniok* [1]). Długie szeregi łodzi płyną bezustanku po rzece, rozwożąc na sprzedaż ten produkt w okoliczne wioski i miasteczka. Co chwila stada hippopotamów zagradzają drogę, którą torować sobie potrzeba, czyniąc użytek z broni palnej. W innem miejscu kąpią się słonie pod cieniem wielkich drzew rosnących na brzegach rzeki, a kajmany krążą po powierzchni wody bez przerwy.

Przepędziwszy pewien czas w Brazzaville, podróżnik powraca do kraju Bateków, który tak opisuje: Przerznięty jest kilkoma rzekami, wpadającemi do Ogue lub Alimy, ta ostatnia rzeka jako spławna temsamem jest najważniejszą, wszystkie inne są podrzędniejszego znaczenia.

Kongo francuzkie pod rządami p. Brazzy zaludnia się spokojnie, zato części zajęte przez Anglików, ze Stanleyem na czele, ustawicznie są niepokojone.

W miesiącu Sierpniu 1886 r., Arabowie zawładnęli stacyą Stanley-Falls i odtąd urządzają bezustannie wycieczki nie uznając władzy zaprowadzonej przez Stanleya, i według wiadomości nadeszłych d. 20 Lipca 1887 r., nie chcą wejść z tym śmiałym podróżnikiem, o którym niżej obszernie powiemy, w żadne układy pokojowe. Odpowiadają, że raz opanowawszy okolice wodospadu Stanleya, nie chcą już stać się niewolnikami i pędzić życie pod rządami cywilizacyi. Depesza z Londynu, nosząca powyższą datę, stwierdza tosamo, przyczem nadmienia, że jest to przepowiednią ogólnego powstania tego plemienia przeciwko Europejczykom osiadłym w środkowej Afryce. Raport majora Barttelot, donosi, że napotykał wszędzie w okolicach okropne ślady znęcania się Arabów nad Europejczykami, od chwili, gdy zawładnęli wyż wspomnianą stacyą. Położenie jest nader groźnem. Podobnież sprawozdanie krajowca Tippo-Tib, trzymającego nad swem plemieniem zwierzchnią władzę, donoszą, że nie udało mu się, jako sprzymierzonemu rządowi nowemu, wywrzeć wpływu na krajowców w Stanley-Falls.

Konsul Francuzki z przylądka Dobrej Nadziei, komunikuje wiadomości pod datą 16 Maja 1887 r. o expedycyi Stanleya [1]), z celem wyswobodzenia Emina-Bey'a oblężonego w okolicach górnego Nilu prawie od roku, skutkiem wojny w Sudanie i upadku twierdzy Chartum. Oto szczegóły tej expedycyi:

Sztab uformowany przez Stanleya w celu odszukania Emina-beya składa się z dziesięciu Europejczyków, którzy dłuższy czas przemieszkiwali w Afryce, a przyjęci po należytem zbadaniu ich stanu zdrowia przez lekarzy. Główna część partyi Stanleya składa się z Czarnych, zrekrutowanych na brzegach południowych, a których liczba dochodzi do 735. Utrzymanie porządku w tych warunkach, tembardziej, że wynagrodzeni oni zostali za swój trud przed wyruszeniem, przedstawia nielada trudności. Już nazajutrz po wyruszeniu z Zanzibaru wydarzyły się starcia.

Między Afrykanami towarzyszącemi Stanleyowi pierwsze miejsce zajmuje wyżej wspomniany Tippo-Tib, który również brał udział z Stanleyem w zwiedzaniu Kongo. Dowódzca arabski, cieszący się dosyć wpływową władzą między Arabami z górnego Kongo, zabrał oddział złożony z 65 mężczyzn i 34 kobiet. Przestrzeń, jaką zamierzano przebyć ma wynosić około 1200 mil, lecz, jak wiadomo, przebycie drogi odbywa się nadzwyczaj wolno, gdyż wszyscy prawie idą pieszo, nie wyłączając kobiet, które trudy podróży znoszą również dobrze, jak mężczyzni. Głównie w skład expedycyi Stanleya wchodzi, prócz ludzi Tippo-Tib'a 60 Sudańczyków, 13 Somalów z Adenu i 623 z Zanzibaru.

Pierwsi są, w całem znaczeniu tego słowa, olbrzymami, w ich to zawiadywaniu znajduje się utrzymanie karności w karawanie i czuwanie nad jej bezpieczeństwem; przeciwnie zaś, mieszkańcy Zanzibaru, maleńcy i o znacznie mniejszej energii od Sudańczyków, przeznaczeni są do dźwigania ciężarów; na każdego przypada około 75 funtów; niosą oni łódź stalową i ammunicyą bojową przeznaczoną dla Emina.

W ogólności tedy Wyprawa Stanleyowska składa się 765 ludzi, w tej liczbie około dziesięciu białych i 34 kobiet. Znajdowało się w niej także 21 mułów z Zanzibaru, dźwigających żywność na pierwszych kilka tygodni. Wątpliwą jest rzeczą: czy który z nich został przy życiu, z powodu znanego owadu afrykańskiego *tsetse*, rodzaju muchy, której ukąszenia są zabójczemi dla tych źwierząt. Prócz tego dowódzca wyprawy zakupił wielką ilość psów mających czuwać nad bezpieczeństwem obozu. Wyprawa trwać miała 18 miesięcy.

Inne wiadomości o Wolnych Stanach Kongo podane zostały przez młodego Szweda, barona de Schwerin, który ogłosił je w Bruxelli a malują one dobrze rzecz o tym kraju kolonizowsnym przez Francyą, Anglią i Belgią. Powiada on z lekceważeniem, że dotąd nieznamy wcale tego kraju, że zamiast zachwycać się brzegami rzek, należy, dla zapoznania się z nim bliżej, wkroczyć w głąb'. Są podstawy wierzenia odwadze tego młodego podróżnika, bo sam król szwedzki ponosi większą część kosztów jego podróży.

Baron Schwerin znajdował się właśnie w Stanley-Falls w chwili, gdy się odbywała walka, skutkiem której Arabowie weszli w posiadanie tego ważnego stanowiska na rzece Kongo. Po tym fakcie młody baron, ufając w swą szczęśliwą gwiazdę, udał się w drogę i zbadał górę nazwaną przez krajowców Mangele, wysoką na 340 metrów, której wierzchołek pokryty jest zielonością a podstawa błyszczy białym piaskiem w słońcu jak olbrzymie dyamenty. Żaden Europejczyk przed baronem Schwerin'em nie widział Mangele; nawet krajowcy zbliżają się do niej z pewnym strachem; według ich podań, jest to góra zaklęta, na której wierzchołku zamieszkują szatani. Baron dostał się na wierzchołek i, jak twierdzi, zachwycony był widokiem ze szczytu; zatknął tutaj chorągiew. Następnie zwiedził dopływ rzeki Kongo, znany pod mianem „Jukissi" i poznał zupełnie nieznaną przedtem okolicę wodospadu. Była to podróż graniczącą prawdziwie z szaleństwem, plemiona bowiem zamieszkujące tę okolicę są zagorzałymi nieprzyjaciołmi Europejczyków. Mimo to wyszedł bez szwanku.

(Dokończenie nastąpi).

---

1) Maniok albo Kassawa, jest to mąka przygotowywana z mięsistych korzeni z rośliny *Manihol utilissima* należącej do rodzaju *Euphorbiaceae*. Najdelikatniejszy gatunek mączki znany jest w handlu pod nazwą: Tapioca.

1) Są to przedostatnie wiadomości o tym podróżniku według wszelkiego prawdopodobieństwa, zginął on wraz z załogą śmiercią głodową. Ostatnią wiadomość o Stanleyu otrzymano w Bruxelli we Wrześniu.

Kronika działalności kobiecej.

— Komitet *Wystawy Tkackiej* przyznał kobietom 33 nagród, a mianowicie. Dyplom uznania otrzymało pań trzy: hr. Róża Zajmojska z Podzamcza, za nadesłanie wyrobów włościańskich z dóbr maciejowieckich, p. Marya Ochenkowska ze Skrzeszewa (łącznie z mężem) za nadesłanie wyrobów włościańskich ze Skrzeszewa i wsi okolicznych, p. Wacławowa Monikowska z Klembówki za przedstawienie płótna „bombak" i piękny haft na nim. Specyalne podziękowanie otrzymało pań dwie: Emilia Korsakowa z Annińska za kierowanie domową fabryką tkactwa i wyroby tkackie, świadczące o znacz ym postępie w produkcyi (domowej) sukna różnego gatunku. Medale bronzowe otrzymały p. p. Ludwika Bobrowska za hafty o wysokim guście i bardzo starannem wykończeniu; Korycińska Alexandra z Warszawy za wyroby introligatorskie z tkanin, wykonane przez uczennice jej; Mrozowska Wanda za doskonałe wyroby pończoch i robót drutowych; Olejnikowa, włościanka z Klembówki za ręczniki haftowane. Marya Pogonowska (Czesława) z Warszawy, za bardzo dobrze wykończone krawaty; Placharzykowa włościanka z powiatu Ostrołęckiego, za wełniak; Strońska Ludwika za koronki i hafty uczennic jej szkoły; za bardzo dobre gorsety „Marie" z Warszawy.

Jużto z tą obcojęzycznością spotykaliśmy się na Wystawie dwukrotnie, bo jedna wystawczyni krawatów prezentowała się też publiczności po-francuzku. Choćby to były rzeczywiście bogdaj Paryżanki, co nie jest nam wiadomem, panie te

przez uszanowanie naszej publiczności powinny były, zwłaszcza na wystawie, używać języka polskiego.

Listów pochwalnych przyznano kobietom 20. Za przedstawienie wyrobów włościańskich (tu pochwała bardzo zasłużona) otrzymały je pp.: Babladowska Emilia, Capryńska Marya, Husarzewska Marya i Husarzewska Teodora, Hoene Joanna, Mielnicka Marya. Za własne wyroby włościanki: Kubrak Justyna zpod Słucka, Gugisowa z Kowieńskiego, Kosiorka z Domaniewic i Mandiowa z Podolskiego. Lisiecka ze Skrzeczowa, Ptasińska z Lubelskiego, Nalejewowa z Ostrołęckiego, Szostakowa z Siedleckiego, Bolestowa z Tchórznicy, Osiorkowa ze wsi Gołębia. Z Warszawy: Ant. Bukowińska za hafty, Zofia Familier za krawaty; Lucyna Smoleńska i Marya Smoleńska za hafty dżetowe. Ludwika Szancer za kwiaty, Emilia Weissenhof za pończochy i roboty pończochowe.

— Szkoła malarstwa dla kobiet p. Wiesiołowskiego liczy 24 uczennic; z tych na wieczorne lekcye rysunku uczęszcza uczennic 10. Zamierzoną jest wystawa celniejszych prac tego grona uczennic, na korzyść budowy gmachu Towarzystwa Sztuk Pięknych. Należałoby to może nazwać popisem publicznym uczennic, dla okazania ich postępów. Wystawa ma znaczenie donioślejsze.

— Schronienie Nauczycielek otrzymało w tych czasach dwa zapisy. Ś. p. Anna z Piechowskich Koszutska zapisała na rzecz zakładu rs. 1000, („Kuryer Warszawski“ mylnie podał 10.000 rs.), która to summa ma być wypłacona listami zastawnemi Wileńskiego Banku Ziemskiego. Dalej ś. p. Marya z Wiśniewskich Turowska zapisała *Schronieniu* dom w Lubartowie, który ma być przedany przez publiczną licytacyą i pieniądze otrzymane włączone zostaną do kapitału posiadanego przez *Schronienie*. Nigdy legaty żadne lepszego przeznaczenia nie otrzymały.

— Na wystawie nasion w czasie Kontraktów Kijowskich otrzymały medale srebrne panie: Czerwona z gub. Podolskiej za pszenicę sandomierką, hr. Branicka za owies. List pochwalny otrzymała taż hr. za jęczmień.

— „Biesiada Literacka“ zwraca uwagę matek na pewien szczegół wychowawczej czujności. Gdzie tylko istnieje już jakakolwiek troskliwość rodzicielska, strzegąca niedojrzałą młodość przed wpływami złych oddziaływań, tam książka niemoralna, książka denerwująca jest usuwaną z czytania młodzieży, dziewcząt zwłaszcza, lecz nietylko czytanie samo może sprowadzać szkody, o jakie tu chodzi. Muzyka działa poniekąd podobnie; zacny *Sęp* we wstępnym artykule „z Warszawy,“ ostrzega przed utworami muzyki operetkowej, bo ta podobnie, jak zła książka, „jest trucizną,“ która działa na nerwy i rozwija złe skłonności. Dla poparcia swego zdania *Sęp* w tem przemówieniu do matek przyzywa aż powagi starożytnego mędrca, Konfucyusza, który widząc w muzyce jeden z najdzielniejszych środków kształcenia ludzi, napisał, że muzyka rozwija w człowieku to ziarno cnoty, które każdy przynosi na świat ze sobą. Ale musi to być muzyka szlachetna, aby uszlachetniała, lecz „jeżeli jest rozpustną, cnota wyrośnie w zielsko; jeżeli jest mądrą, człowiek przy niej w mądrości dojrzewa...“ Przecież bezpośrednim już niebezpieczeństwem obznajamiania młodzieży z lichą, nędzną muzyką operetkową, wyrabiania do niej smaku, jest to mianowicie, że następnie lubuje się w niej ona, pragnie ją słyszeć i psuje się moralnie, poniża w wyższej godności istoty inteligentnej na farsach lichych, gdzie sztuka jest sprowadzona do służenia samym nizkim stronom natury człowieka. *Sęp* zwraca baczność matek, aby nauczyciele muzyki niższego kalibru, nie poddawali uczniom swoim wyjątków ze wspomnianych operetek, które, jako łatwe, kuszą do tego, aby z nich czynić popis rzekomych postępów w nauce.

— *Korrespondent Płocki* zamieszcza w Nr 22 z roku bieżącego list, pisany z okolicy mławskiej, a poświęcony w całości kwestyom społecznych i ekonomicznych oddziaływań kobiety na los i dobrobyt rodziny ziemiańskiej — na jej szczęście i możliwość utrzymania się na starym gruncie. Piszący przyznaje pod tym względem niemałe znaczenie i niemałą rolę kobiecie; przecież spostrzeżenia jego czynione nad zamieszkiwaną okolicą, nie wypadają na jej korzyść. bo widzi on tam „nadzwyczaj mało kobiet przychodzących w pomoc biednemu mężowi,“ który wobec przewrotów ekonomicznych, dotykających nasze rolne gospodarstwo, znajduje się w trudnem położeniu godzenia dochodów z rozchodem i zmuszony jest do zaciągania długów. A jaką będzie godzina ich wypłaty? Korrespondent z mławskiej okolicy pisze też, że obok koniecznego zmniejszenia do minimum wydatkowej pozycyi w budżecie rodziny ziemiańskiej. musi się zarazem podnieść tam pozycya dochodowa w tych gałęziach, z któremi dotąd nie liczono się zbyt ściśle, w gałęziach produkcyi gospodarstwa kobiecego i zwraca się z tem do kobiety żony, że powinna ona stanąć tu do pomocy mężowi, gdyż w obecnym czasie każde źródło dochodu powinno być „doszczętnie“ wyzyskanem.

Kolej żelazn , przerzynająca tamte okolice, ułatwia stawiane przezeń żądania, na co zwraca on uwagę zamieszkiwanych tam gospodyń, dodając, że znajdują się w Warszawie liczne składy produktów wiejskiego gospodarstwa kobiecego, które dobrze procentują—skoro tylko są dobrze prowadzone. Przecież gra tu rolę swoją „ważny czynnik ekonomiczny: solidarność i umiejętny podział pracy w kierunku wytworczym,“ i jako przykład pod tym względem stawia powiat *G.*, który w ten sposób uorganizował spółkę. Znaleziono też sobie w Warszawie kobietą zaufaną, która nietylko zajmuje się sprzedażą nadsyłan ch produktów, ale przesyła informacye, na co znajduje się największy popyt, w jakim więc kierunku producentki wiejskie powinny gospodarstwo swoje prowadzić. Korrespondent ten, *W. D.*, pisze w dalszym ciągu, że zainteressowany mocno tą współką powiatu *G.*, skład jej za bytności swojej w Warszawie zwiedził, księgi przeglądał i przekonał się z nich, że praca w tym kierunku opłaca się dostatecznie, jakkolwiek gospodynie z miejscowości wspomnianej nie mają ważnego udogodnienia kolei żelaznej, i muszą przesyłać produkta swe furmankami.

Co do podziału pracy współki, p. *W. D.* pisze, że wzięto najpierw pod rozwagę lokalne warunki wioski, tak, aby gospodarstwo męża nie cierpiało na rozwijającem się na większą skalę gospodarstwie żony, dalej podaje jak jedna pani przysyła chleb wiejski, druga mleko i jego przetwory: sery, masło i śmietanę; inna produkta z ogrodu, inna jeszcze miód, wosk i tam dalej. Gospodarstwo mleczne stowarzyszonych rozpada się też przytem na dwa działy: jeden ma za cel przeroby mleczne; drugi zaś, z uwagi, że trzoda chlewna tuczy się szczególniej dobrze mlekiem, obraca je na ten użytek, bo wędliny opłacają się dobrze i zysk na nich pewny.

Że przecież masło dobre równie się opłaca, że zawsze pokup znajduje, zwłaszcza przy fałszowaniu masła przez pospolitych przekupni, to też jest pewnością.

Wiele spożywczych składów wiejskich padło przecież w Warszawie, głównie zpowodu, że produkta swe ceniły za drogo, to jest drożej niż można ich było dostać w sklepach zwyczajnych. Czy to było winą zakosztownie urządzonych składów — czy gospodynie wiejskie nie umiały produkować tanio i posługiwały się zanadto osobami trzeciemi, które oszczędnie tego czynić nie umiały — czy wreszcie trud, jaki sobie zadawać przytem musiały, ceniło bardzo wysoko? Są to wszystko zagadnienia, które rozwiązać trzeba, jeżeli powodzenie składów wiejskiej produkcyi ma się szczęśliwie na korzyść producentów rozwinąć. Zysk mały, lecz ciągły wiele znaczy, czasy są ciężkie i ludzie tak w mieście jak na wsiach ubodzy.

Składy gospodyń wiejskich mogą liczyć zawsze na sympatyą gospodyń warszawskich, panuje też tu jeszcze zaufanie i wiara w czyste przyrządzanie i niefałszowanie przedmiotów, co znaczy bardzo wiele. Składów tych jest obecnie w Warszawie kilka.

— Dnia 4 Marca b. r. odbyło się w Krakowie, w Muzeum Techniczno-Przemysłowem walne zgromadzenie Stowarzyszenia Nauczycielek, którego rozumne i szlachetne cele samopomocy, zapewnienia sobie starości spokojnej, znane są czytelnikom naszym. Na zebraniu tem powstał zamiar założenia czytelni miejscowej i biblioteczki dla młodzieży, zaopatrywania czytelni w pisma peryodyczne i rozsyłanie ich na prowincye dla nauczycielek, często pozbawionych pokarmu duchowego. Towarzystwo rozwija się pomyślnie, jakkolwiek cel jego najważniejszy, wzniesienie *Schronienia Nauczycielek* jest jeszcze dalekim. Posiada ona niemniej 8,000 zł. żelaznego funduszu.

Dochodu miało Stowarzyszenie w roku zeszłym 1,820 zł. reńskich, co z dołączeniem remanentu z roku poprzedniego tworzyło razem 2,022 zł. r. Pożyczek udzielono 1905 zł. r. Biblioteka Towarzystwa rozporządzała 1,000 t. książek, z tych 340 było udzielonem do przeczytania przez osobę prywatną. Członków liczy Stowarzyszenie 414. Prezesową jest założycielka Stowarzyszenia, p. Zubrzycka, wiceprezesową p. Pogonowska, zasłużona nauczycielka. Wydział stanowią panie: Seweryna Górska, Karclina Krynicka (przełożone pensyi), Steczkowska i Pawlikowska Helena, oraz panowie: Maciołowski Umiński i Żółkowski.

— Warszawska rada dobroczynności publicznej przyznała z zapisu Jana Zacharkiewicza nagrody pieniężne za wierną i długoletnią służbę u jednych pracodawców: Tekli Smoleńskiej za 33 lat służby u Serafiny Guisson rs. 150; Juliannie Weigt za lat 19 i miesięcy 11 służby u Emilii Pawłowskiej 85; Apolonii Kuźmińskiej za lat 14 i miesięcy 7 służby u Emilii Janiszewskiej 45. Każdej z tych pań zacnych, u której służba nie jest przytłaczającym człowieka ciężarem i która dom swój zamienia dla pracujących w nim na ognisko rodzinne, należy się nagroda czci publicznej za obywatelskie i chrześcijańskie stanowiska swego pojęcia.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Grono nauczycielskie Instytutu Muzycznego** wręczyło zacnemu i zasłużonemu dyrektorowi Instytutu, p. Alexandrowi Zarzyckiemu, jako upominek, fotografie swoje w grupie, a uczennice srebrną batutę z 54 nazwiskami grawirowanemi na niej. Upominki te są ze strony wręczających wyrazem życzliwego szacunku dla naczelnika swego, który z kierownictwa Instytutu ustępuje.

— **Konkurs Gazety Świątecznej** na powiastkę ludową i artykuł z dziedziny naukowej, wypadł bardzo pomyślnie. Nadesłano 50 powiastek i 27 artykułów. Wyrok zostanie ogłoszony z końcem miesiąca Kwietnia.

— **Spożywcze Stowarzyszenie Merkury** odbyło walne zgromadzenie półroczne. Sprawozdanie z drugiego ubiegłego półrocza wykazało czystego dochodu 1,550 rs. i coś drobnych. Uchwalono rozdzielenie 1,500 rs. między członków, tytułem dywidendy w wysokości $2\frac{1}{2}$ procentu.

— **Do Fernando Po** wyjechał nowy nasz podróżnik, p. Maryan Turski z Radomia. Pragnie on połączyć się z Rogozińskim, zastępując w ten sposób ubytek, sprawiony przez powrót Jawornickiego do kraju.

— **Drukarze Krakowscy** przesłali na pomnik Kraszewskiego w kościele Ś-go Krzyża rs 28. Pierwsza myśl tego pomnika, wyszła od drukarzy *Kuryera Warszawskiego*, również, jak i pierwsza na ten cel ofiara.

— **Katalog Biblioteki i zbiorów Kraszewskiego** opracowany przez bibliografa krakowskiego Pawlika, wyjdzie wkrótce z druku. Syn zmarłego, p. Franciszek Kraszewski, żąda za całą tę spuściznę 12,000 zł. reń., które mogą być spłacane częściowo, gdyby zostały nabyte w całości. Sądzić należy, że się tak stanie, bo na to powinny znaleźć się pieniądze w kieszeniach tych, którzy mają otrzymane po przodkach biblioteki; więc mają i obowiązki pomnożenia też dla potomków swoich bogactw tego rodzaju. Zresztą summa

jest stosunkowo nie tak znaczną, aby trudno się było zdobyć na nią.

— **Prezes Akademii Umiejętności w Krakowie**, Dr. Józef Majer, obchodził d. 12 Marca ośmdziesięcioletnią rocznicę swych urodzin. Z powołania lekarz, przez długi czas professor uniwersytetu Jagielońskiego, bywał tam kilkakrotnie dziekanem, a przez lat cztery pełnił obowiązki rektora uniwersytetu. Od samego początku powstania Akademii Umiejętności piastuje godność jej prezesa, i oprócz prac w zakresie nauk lekarskich, zajmuje się naukowem słownictwem naszego języka, dba wielce o jego czystość, o jego bogactwo. Zasłużony pracownik i obywatel, używa też czci ogólnej i prawie wszystkie instytucye polskie ofiarowały mu godność członka honorowego. Urodzony w 1808 r. w Krakowie, strawił tam niemal całe życie i jest zawsze jego przedstawicielem w sejmie krajowym.

— **Galicyjskie Towarzystwo ochrony źwierząt** wydało odezwę w sprawie bocianów, których zeszłej spóźnionej wiosny wyginęło z głodu bardzo wiele, a których w bieżącym roku czekają jeszcze okrutniejsze przejścia, bo już śmierć głodowa. Bocian jest u nas ptakiem legendowym, podanie niesie, że gnieździł się wśród zagrody Piastowej, i że przynosi ze sobą szczęście, że stroni od miejsc skalanych niepoczciwością, zamieszkałych przez złych ludzi. Wspomniana odezwa przypisuje mu cnotę wyższą jeszcze, że „porzuca on piękne ciepłe krainy południa, a śpieszy do swej północnej ojczyzny, aby nie powiedziano o nim, że dla rozkoszy życia zapomniał o gnieździe rodzinnem.“ Czas przybycia do nas bocianów, wypada około Ś-go Józefa, i zanim pękną lody zanim stopnieją śniegi, ożywia się ługi i moczary, trzeba im dać pomoc miłosierną. *Towarzystwo* zwraca się z tem do chat i dworów. Trochę ugotowanych i pogniecionych ziemniaków, włoszczyzna z rosołu i odpadki kuchenne przy sprawianiu drobiu, lub ryb, zaniesione w miejsce, gdzie bocian na gniazdo swe stare przylata, obronią go od śmierci i pozwolą przetrwać do chwili wiosennego ożywienia się natury. Bociany nie boją się człowieka, podchodzą same do domów i chat, szukając tam łaski.— Nie dajmy im zginąć! woła Towarzystwo, a dodać tu trzeba, że mają one swój dział w ekonomii przyrody, oczyszczają świat z gadów i płazów wstrętnych.

— **Bankiet arystów** zpowodu otwartej w Wiedniu d. 1-go Marca wystawy sztuki zgromadził w sali „Grand Hotel“ 300 osób ze świata międzynarodowej sztuki i intelligencyi. Na toast wzniesiony przez budowniczego Deinigera dla uczczenia prassy, którą nazwał słońcem, użyczającym światu światła, piękna i idealnego tworzenia, odpowiedział najpierw poeta Weilen, prezes wiedeńskiego stowarzyszenia literackiego *Concordia*, następnie Alfred Szczepański prezes związku prasy zagranicznej. Zaznaczyć tu należy, że przemawiał językiem międzynarodowym: pofrancuzku.

Jest on korrespondentem naszego pisma.

Przemawiał też między innymi malarz norwezki Dahl, i to bardzo szlachetnie. Pozdrawiał zgromadzonych w imieniu swej dalekiej ojczyzny, od stron tej północy, gdzie walka z naturą o chleb powszedni jest ciężką. Ale i tam wśród lodów i mrozów serca biją dla wszystkiego, co wielkie i piękne, czerpiąc sobie zasoby bogactw duchowych z ogólnego dorobku narodów: pielęgnując ideały. Górą ideały... zakończył.

— Malarz Felix, wice-prezes Towarzystwa, wzniósł wtedy toast: — Nie zapominajmy o tem, co najpiękniejsze—o kobiecie!... Ale przemówienie to było tylko lekkie i wesołe: życzył przybyłym z obczyzny artystom, aby poznali piękne Wiedenki i zdobyli sobie ich względy.

— **Posąg poety**, Józefa Eichendorff'a, został w Wrocławiu przez rzeźbiarza Seger'a wykończony. Urodził się on w 1788 r. na Szlązku pod Raciborzem, we wsi Lubowice, przecież Niemcem był! Studyował w Heidelbergu i natchnienie jego zwracało się w stronę szlachetnej romantyki. Katolik, grawitował więcej ku Wiedniowi, niż Berlinowi; pisał dramata, powieści, głównie przecież poezye liryczne upamiętniły go w literaturze. Stoletnia rocznica jego urodzin przypadała w d. 10 Marca b. r.

— **W Katakumbach Rzymskich**, a mianowicie: w katakumbie Ś-tej Priscilli, archeolog rzymski Rossi odkrył sklepienie, a na nim fresk przedstawiający Chrystusa między dwoma apostołami: św. Piotrem i Pawłem. Drugi fresk ukazuje Orfeusza z lirą i plektronem. Dyrektor francuzkiej szkoły sztuk w Rzymie donosi o tem odkryciu paryzkiej *Akademii Napisów*. Rossi odkrył jeszcze starożytny grób Aciliusa Glabrio, straconego z rozkazu cesarza Domicyana, za ateizm, co znaczyło wtedy wiarę chrześcijańską.

— **W Królestwie Kongo** zaszły krwawe wypadki. Stacyę N'Dżole, w posiadłościach francuzkich napadli krajowcy, faktorye i magazyny zniszczyli. W górnym Ubangi krajowcy rzucili się na francuzką wyprawę pod przewodnictwem porucznika Dolisié, który ranny ciężko, zdołał jednak ujść, lecz sześciu jego towarzyszów zabito i zabrano wszystką żywność, wszystkie narzędzia i przedmioty posiadane przez wyprawę, wraz z ammunicyą. Dolisié zdołał się dowlec do stacyi Nkundża w stanie okrutnego wyczerpania. Gubernator Państwa Congo: von Brazza, kazał stracić jednego naczelnika krajowców: Nguema Via. Przecież całe przedsięwzięcie ufundowania europejskiego państwa w środku Afryki zaczyna się przedstawiać jako rzecz wielce trudna i niezmiernie kosztowna, a to tem więcej, że głuche wrzenie ujawnia się między krajowcami, stawiającymi się coraz nieprzyjaźniej przeciw Europejczykom. Przypisują to podusczaniom Arabów, chcących rozpuszczać tu wciąż krwawe swoje zagony. Niespokojność o los wyprawy Stanley'a coraz rośnie, a nadzieja odnalezienia go żywym zmniejsza się w tymsamym stosunku.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 21-szy powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez M. Crawford.

Tanie zbiorowe wydanie

POWIEŚCI HISTORYCZNYCH

JÓZEFA IGN. KRASZEWSKIEGO

przedstawiających w formie powieściowej

Dzieje od IX do połowy XVIII wieku

W ciągu roku wychodzi 20 tomów (przeszło 200 arkuszy)

Wydawnictwo to rozpoczęło się w Styczniu r. b.

Obecnie wyszły z druku tomy 1, 2, 3 i 4-ty i zawierają

Powieści osnute na tle historycznem IX i X wieku pod tytułem:

STARA BAŚŃ — LUBONIE.

W roku bieżącym wyjdą powieści: **Bracia Zmartwychwstańcy**, 3 tomy. — **Masław**, 2 tomy.— **Boleszczyce**, 2 tomy. — **Królewscy synowie**, 4 tomy. — **O Petrku Właście**, 2 tomy. — **Stach z Konar**, tom I i II.

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata wynosi rocznie (za 20 tomów) rs. 7 kop. 20, z przesyłką rs. 8 kop. 80; półrocznie (za 10 tomów) rs. 3 kop. 60, z przesyłką rs. 4 kop. 40; kwartalnie (za 5 tomów) rs. 1 kop. 80, z przesyłką rs. 2 kop. 20. W Warszawie opłacać też można miesięcznie po kop. 60.

Tom w prenumeracie wypada tylko kopiejek 36.

tym sposobem wydanie to rzeczywiście taniem nazwanem być może.

Przez prenumeratę nabycie jeszcze bardziej jest ułatwionem.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i kantory pism.

MICHAŁ GLÜCKSBERG, Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

TREŚĆ: Agnieszka Hedenström, przez M. J. — **Byron**, wspomnienie, (dalszy ciąg). — **Na starym gruncie**, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — **Nowiny paryzkie**, (dokończenie). — **Podróże naukowe.** — **Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 20-ty powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez Maryana Crawford. — 41 wzorów nbiorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. - Dyspozycya stołu.

Warszuwa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою—Варшава 9 Марта 1888 года.